

Azjatyckie skarby kultury i przyrody - Tajlandia



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Azjatyckie skarby kultury i przyrody: Tajlandia, Laos, Wietnam i Filipiny

Opracował: Krzysztof Danielewicz, 2024 r.

Część I – Tajlandia

Wybór Azji na kolejną, tym razem bardzo długą wyprawę, nie był oczywisty. Pierwotnie planowałem udać się do Mozambiku, Zambii i Malawi. Ponieważ jednak już częściowo zwiedziłem Indochiny, postanowiłem sprawdzić ostatnie interesujące mnie miejsca i trasy, aby w przyszłym roku móc zabrać ze sobą turystów. Tym bardziej że ceny biletów do Azji czy Afryki są bardzo zbliżone, jednak koszty samego życia czy podróżowania w tych krajach znacznie się różnią – na korzyść Indochin. Ze względów bezpieczeństwa Azja ma też lepszą opinię niż Afryka, chociaż Rwanda jest tutaj dużym wyjątkiem, ponieważ to jeden z najbezpieczniejszych krajów nie tylko w Afryce, ale także i na świecie.

Wybierając kierunek podróży, nie do końca wiedziałem, jaka będzie dokładnie trasa. W planach miałem zrobienie koła: Tajlandia – Laos – Wietnam Środkowy i Południowy (Północny już zaliczony) – Kambodża. Jednak ze względu na to, że Kambodżę już miałem wcześniej dosyć dobrze rozpoznaną, postanowiłem odwiedzić Filipiny, które podobno są nieodkrytym rajem. Oferują tak piękną przyrodę jak Tajlandia, jednak turyści rzadziej je odwiedzają, przez co nie są tak zatłoczone.

Zanim wsiadłem do samolotu, spędziłem noc w Warszawie – nie chciałem ryzykować spóźnienia na samolot. Zawsze istniało ryzyko, że na autostradzie A2 wydarzy się wypadek i nie dojadę na czas, a poniosłem już za duże koszty w związku z zakupem czterech biletów lotniczych, tj. Warszawa – Bangkok, Ho Chi Min – Manila, Manila – Bangkok i Bangkok – Warszawa. Lot do Bangkoku z 12 na 13 grudnia, z przesiadką w Doha, przebiegał bez problemów. Katarskie linie są fenomenalne, jeżeli chodzi o obsługę czy serwis związany z posiłkami. W samolocie siedziałem obok pary Polaków, która – jak się okazało – zajmuje się turystyką i leciała do Chang Mai z przesiadką w Bangkoku.

Na lotnisku w Bangkoku trafiłem chyba na jakąś górkę turystyczną; jednocześnie wylądowało kilka samolotów i do kontroli paszportowej kierowało się może ze 2 tys. ludzi. Na szczęście Tajowie rocznie przerabiają dziesiątki milionów turystów i nie jest to dla nich problem. Po około 40 minutach znalazłem się już po drugiej stronie bramek. Szybki odbiór bagażu, wymiana waluty i marsz w kierunku drzwi numer 3, gdzie miała czekać na mnie taksówka. Taksówkę

zamówiłem przez booking – pierwszy raz skorzystałem z takiej możliwości, tak dla sprawdzenia, jak to działa. Opcja, pomimo że przez pośrednika, i tak okazała się tańsza niż branie taksówki z lotniska.

Po około 40 minutach znalazłem się już w moim cudownym, malutkim i drewnianym hotelu, przerobionym ze starego, 97-letniego drewnianego domu, zlokalizowanego w starej, centralnej części Bangkoku, niedaleko Pałacu Króla. Prowadzi go starszy pan, któremu pomaga starsza pani, zajmująca się głównie kuchnią. Na dzień dobry otrzymałem szklaneczkę soku i koszulę tajską w słońce. Pokoiki mały, ale bardzo przytulny, no i spokojna, boczna uliczka robiły swoje.

Zdjęcia 1–8. Hotel Baan Tewa w Bangkoku.















Po krótkiej drzemce i kąpieli udałem się na posiłek i spacer. Okazało się, że dosłownie 50 m od hoteliku był tajski bar, gdzie mnóstwo Tajów spożywało posiłek. Zamówiłem sobie wielką rybę z grilla. Po kolacji postanowiłem odwiedzić, znaną mi już, słynną i najbardziej turystyczną ulicę Khoasan. Rejon ten ma dwa oblicza: jedna ulica jest bardzo spokojna, z klimatycznymi restauracjami i salonami masażu, druga zaś – niesamowicie krzykliwa, hałaśliwa, gdzie naganiaczy do barów jest chyba więcej niż turystów. Każdy bar gra głośną muzykę, aby przyciągnąć uwagę. Może dla młodych, żądnych zabawy i alkoholu turystów jest to ciekawe miejsce, dla mnie na pewno nie. Po drodze zaliczyłem swój pierwszy masaż, który bardzo mi się przydał, szczególnie po ponad 20 godzinach podróży. Wychodząc z salonu, wszedłem jeszcze do jednego z wielu punktów obsługi turystów, gdzie zwyczajowo można kupić nie tylko wycieczki, ale także bilety na wszelkiego rodzaju transport – lądowy, wodny czy lotniczy.

Chciałem się dowiedzieć, jak dostać się z Chang Mai do Luang Prabang. Bardzo mnie ucieszyła informacja, że najlepiej tzw. wolną łodzią i że oni wszystko organizują. Odbierają z hotelu, zawożą na granicę, potem nocleg, dzień na rzece, drugi nocleg, znowu dzień na rzece i w końcu Luang Prabang. Nie ukrywam, że dokładnie o taki układ mi chodziło – zawsze chciałem odbyć trasę wolną łodzią z miasta do miasta, a nie tylko wycieczkę.

Po kilkukilometrowym marszu wróciłem do hotelu. W Bangkoku fajne jest to, że można chodzić po nim w nocy bez żadnego stresu o własne bezpieczeństwo. Spotykałem nawet młode dziewczyny z Europy, które samotnie spacerowały. Życie w Bangkoku zaczyna się około 17.00, kiedy wszyscy wychodzą na ulicę, aby zjeść kolację w swoich ulubionych ulicznych barach. Wieczorem kupiłem sobie jeszcze bilet autobusowy do Chang Mai. Dwa lata wcześniej odbyłem tę trasę nocnym pociągiem ze świetnymi sypialnymi wagonami, tym razem zaś stwierdziłem, że zobaczę, jak działają autobusy.

Idąc spać, nastawiłem sobie budzik na 7.00, aby rano trochę się poruszać i zdążyć na śniadanie. Jakie było moje zdziwienie, kiedy rano telefon pokazywał 12.15 – spałem trzynaście godzin! Nigdy w dorosłym życiu mi się coś takiego nie przydarzyło. Widać organizm zabrał, co jego, tym bardziej że była zmiana – nie tylko temperatury z -4°C na $+32^{\circ}\text{C}$, ale i czasu – sześć godzin do przodu. Ponownie się zdziwiłem, kiedy pani z hotelu bez mrugnięcia okiem przygotowała mi śniadanie. Trochę chyba ze starszym panem się ze mnie śmiali, że tak długo spałem. Po śniadaniu – smażony ryż z krewetkami, sadzone jajko i krewetki oraz świeży arbuz i papaja – udałem się do miasta.

Pojechałem zobaczyć najnowszy dworzec kolejowy Krung Thep Apiwat Central, bardziej znany jako Bang Sue Grand Station (zresztą taka nazwa jest na budynku). Obok dworca znajduje się mój dworzec autobusowy – Mochit, więc od razu sprawdziłem, jako to działa, oraz odwiedziłem przepiękny ogromny Chatuchak Park. On z kolei znajduje się obok słynnego wielkiego weekendowego targu – Chatuchak. Dworzec kolejowy jest przeogromny, całkowicie nowy i z nowoczesną konstrukcją, zdolny do obsługi tysięcy ludzi dziennie. Wszędzie porządek i czysto, na peron można wejść tylko z ważnym biletem i dopiero przed odjazdem, kiedy obsługa otworzy peron. Dworzec autobusowy jest stary, ale sprawnie obsługiwany i z dużą ilością peronów.

Zdjęcia 9–13. Dworzec Bang Sue Grand Station.







Zdjęcie 14. Dworzec autobusowy Chatuchak w Bangkoku.



Największe wrażenie zrobił na mnie park: przeogromny, z dużą różnorodnością roślinności i architektury. Widziałem też kilka zbiorników wodnych, w których pływały ryby i żółwie, dokarmiane przez ludzi. Spotkałem także mojego ulubionego warana, pływającą wydrę czy ciekawie ubarwioną wiewiórkę. W parku są świetnie przygotowane trasy biegowe i rowerowe czy siłownie zewnętrzne. Ogromne łąki, place zabaw dla dzieci – dosłownie wszystko, co niezbędne dla sportu i rekreacji, i to w centrum Bangkoku. Żałowałem tylko, że dotarłem tam tak późno, kiedy godzinę później już się ściemniało. Na szczęście udało się zrobić kilka zdjęć. Niedaleko parku natknąłem się na nowoczesny kompleks budynków – Energi Center. Nowoczesne budynki ze świetną infrastrukturą wokół robiły wieczorem bardzo dobre wrażenie. Ceny musiały tu być wysokie, biorąc pod uwagę bliskość parku.

Zdjęcia 15–22. Chatuchak Park.











Po udanym spacerze zatrzymałem moto-taxi i wróciłem do hotelu. W godzinach szczytu to najlepsze rozwiązanie: nie stoi się w korkach, a dodatkowo można jechać drogami zamkniętymi dla samochodów. Wieczorem szybkie odświeżenie i kolacja – ponownie rybka, tym razem mój ulubiony sum (2 USD), zwany catfish. Po krótkim spacerku udało mi się jeszcze zaliczyć

dwugodzinny masaż za jakieś 60 PLN... Wieczorem szybkie pakowanie i spać. Tym razem czujnie, bo bałem się zasnąć. Rano, 15 grudnia, taksówka już na mnie czekała i za 123 THB dojechałem do dworca. Wcześniej tę trasę zrobiłem za 200 THB. Polecam używanie aplikacji Grab Taxi – mają najniższe i ustalone ceny.

Zdjęcie 23. Energi Center.



Na dworcu stawilem się godzinę przed odjazdem, a i tak autobus odjechał z czterdziestominutowym opóźnieniem, którego przyczyny nie znam. Zauważyłem, że w każdym autobusie jest stewardesa, która zajmuje się kompleksową obsługą pasażerów: od sprawdzania biletów po wskazanie miejsca czy przyjęcie bagażu. W trakcie podróży podaje też wodę i przekąski oraz zbiera pieczętki na punktach kontrolnych na trasie. Autobus dosyć stary, piętrowy, na szczęście trafiłem miejsce w pierwszym rzędzie, dzięki czemu miałem świetny widok przez całą trasę. Niestety, obok mnie siedział dobrze odżywiony mnich, którego fotel był uszkodzony i co chwilę się do mnie przybliżał lub oddalał. Męczył się niemiłosiernie, raz nawet przesiadł, ale na kolejnym przystanku musiał wrócić na swoje miejsce. O dziwo, do Chang Mai dotarliśmy co do minuty, było tylko czterdziestominutowe przesunięcie związane z późnym startem. Na tak długiej trasie taka punktualność robi naprawdę wrażenie.

Na miejscu szybko znalazłem taksówkę na motorze i razem ze swoimi dwoma plecakami dotarłem do prowadzonego przez małżeństwo hoteliku rodzinnego. Całe było zarośnięte roślinami, co utrudniało zlokalizowanie go. Parterowy budynek, bardzo kameralne lobby, gdzie porozkładano wszelkiego rodzaju ulotki, robił przytulne wrażenie. Cena bardzo atrakcyjna, biorąc pod uwagę lokalizację. Szybko otrzymałem klucz oraz niezbędne instrukcje, hotelik był np. zamykany na kratę, do której miałem klucz, ponieważ po 21.00 właściciele jechali do domu.

Zdjęcie 24. Fajnie schowany w zieleni hotel.



Po niecałej godzinie byłem już w trakcie marszu do miasta. Chwilę mi zajęło, aby się zorientować, gdzie jestem w porównaniu do miejsca, które odwiedziłem dwa lata temu. Po zjedzeniu kolacji pochodziłem po nocnym markecie oraz znalazłem mój poprzedni hotel. Miało to znaczenie, bo niedaleko od niego znajdował się najlepszy na świecie salon masażu, gdzie natychmiast umówiłem się na dzień następny. Po drodze, jeszcze w rejonie nocnego marketu, kupiłem bilet na mecz tajskiego boksu w dniu następnym oraz wycieczkę na 17 grudnia. Kolejny dzień zrobiłem sobie trochę luźniejszy, bardziej na wypoczynek i zwiedzanie starej części miasta, na którą nie miałem czasu dwa lata wcześniej, głównie ze względu na wypadek na skuterze i problemy z poruszaniem. Wieczór spędziłem przy kawce i lampce czerwonego

wina, relaksując się w przyjemnej temperaturze na zewnątrz. Temperatura po zachodzie słońca jest wspaniała, można chodzić godzinami bez pocenia się czy konieczności cieplejszego ubierania.

Zdjęcia 24–29. Nocny targ i nocne życie w Chang Mai.







Następnego dnia wstałem porządnie wyspany, trochę się poruszałem i udałem się w poszukiwaniu śniadania. Pierwszym posiłkiem był talerz świeżych owoców i płatków polanych mleczkiem kokosowym. Pół godziny później wypłem jeszcze sok z mango, truskawek i papai oraz szota z imbiru. Już po trzech dniach pobytu w Tajlandii, przy tej

pogodzie i jedzeniu warzyw, ryb i owoców, poczułem się dużo lepiej, bardziej odżywiony i wypoczęty pomimo ciągłego ruchu i małej ilości snu.

Przez kolejne kilka godzin spacerowałem po starej części miasta, robiąc zdjęcia pięknie odrestaurowanym świątyniom buddyjskim oraz urokliwym budynkom i uliczkom. Zrobiłem sobie przerwę w restauracji, gdzie zwróciły moją uwagę piękne, stare, drewniane budynki oraz panujący tam klimat. Kiedy popijałem kawkę, słuchając muzyki w tle, zauważyłem, że obok jest prywatna sala tajskiego boksu, gdzie starszy pan uczy młodego człowieka o wyglądzie europejskim. Obok kilkuletni chłopiec, mający rękawice większe niż jego głowa, z zaparciem kopał i boksował w worek. Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym tam nie poszedł i nie zrobił kilku zdjęć. Po chwili rozmowy z trenerem ustaliłem, że ma 64 lata. Dopijając kawę, podziwiałem motocykl Harleya Davidsona, którego właścicielem był szef kuchni, siedzący stolik obok w białym fartuchu. Wszędzie zresztą znajdowały się jego zdjęcia, więc z dużą pewnością mogę stwierdzić, że to był przy okazji właściciel.

Zdjęcia 30–50. Piękne zabytki i architektura Chang Mai.





























Musiałem zakończyć spacer po 16.00, ponieważ na 17.30 miałem umówiony mój wymarzony dwugodzinny masaż relaksacyjny. Po drodze zdążyłem jeszcze zjeść obiad i doładować telefon.

Masaż był niewiarygodny, a dwie godziny takiego profesjonalnego zabiegu, w osobnym pokoju, z olejkami zapachowymi, kosztował około 140 PLN, co stanowi 25% ceny w Polsce, nie mówiąc o jakości. Następnie udałem się na nocny market zjeść szybką kolację, bo o 21.00 czekała na mnie gala tajskiego boksu.

Zdjęcia 51–54. Polecany i sprawdzony salon masażu.







Gala, według moich ustaleń, odbywa się w kilku miejscach w Chang Mai – niektóre codziennie, inne w weekendy. Ceny biletów to 60 THB lub 100 THB z miejscem przy ringu. Po wejściu widać było, że nie jest to profesjonalna hala sportowa, a bardziej hangar, gdzie ustawiono ring. Całość sąsiadowała obok kilku innych nocnych marketów i setek sklepów. Klub się nazywa 7 Eleven i widać, że całość zorganizowano pod kątem atrakcji turystycznej. Nie dało się tego w żaden sposób porównać z salą Lumpinee w Bangkoku, która jest najważniejszą na świecie areną zmagania zawodników tajskiego boks. Planowo walki miały się zacząć o 21.00, jednak było dwudziestopięciominutowe opóźnienie. Walk odbyło się sześć, na różnym poziomie profesjonalizmu, jednak bez porównania z tym, co miałem okazję wiedzieć dwa lata wcześniej w Bangkoku. Ciekawe, że poza Tajami mieli walczyć obcokrajowcy, w tym jeden Polak, walka numer trzy. Wszystkie walki zakończyły się przed czasem i widać, że zawodnicy się nie oszczędzali. Walka Polaka była bardzo chaotyczna po obu stronach. Polak bardzo szybko został liczony po ciosie Taja, ale, o dziwo, wytrzymał i wygrał przez nokaut. Walka Polaka bardzo rozgrzała pozytywnie około trzystuosobową publiczność. Po nim walczyli także Brytyjczycy, zawodnik z Hongkongu i Australii. Uważam, że to bardzo ciekawe i atrakcyjne dla turystów rozwiązanie. Niejeden zawodnik ze świata może w ten sposób spełnić swoje marzenia i zawalczyć w Tajlandii według ich specyficznych i bardzo twardych zasad. Po meczu udałem się na spoczynek, ponieważ kolejnego dnia czekała mnie obiecująca wycieczka do Parku Narodowego Doi Inthanon.

Zdjęcia 55–57. Gala boks tajskiego, autor pierwszy z lewej.







Kolejnego dnia szybka pobudka i gotowość o 7.00 do wyjazdu. Musiałem trochę poczekać, co pozwoliło mi obserwować, jak się budzi życie w Tajlandii. Niestety, mijał czas przyjazdu mojego busa, więc poprosiłem właścicielkę o przedzwonienie na wskazany numer telefonu. Okazało się, że nie mieli mnie na liście. Na szczęście bardzo szybko Tajowie załatwili transport i po dwukrotnym przekazaniu mnie z jednego busa do drugiego i zatrzymaniu na pół godziny mojego docelowego trafiłem do swojej grupy. Usiadłem obok dwóch młodych dziewczyn mówiących biegle po francusku, a jednocześnie rozmawiających ze starszą panią po rosyjsku. W busie byli także ludzie z Argentyny, Belgii, Wielkiej Brytanii. Atmosfera stawała się coraz luźniejsza, aż żal się było rozstawać.

Pierwszym punktem wycieczki był przepiękny wodospad w Parku Narodowym Doi Inhadnon. Następnie znaleźliśmy się miejscu dwóch ogromnych stypuł, z czego jedna królewska, obie

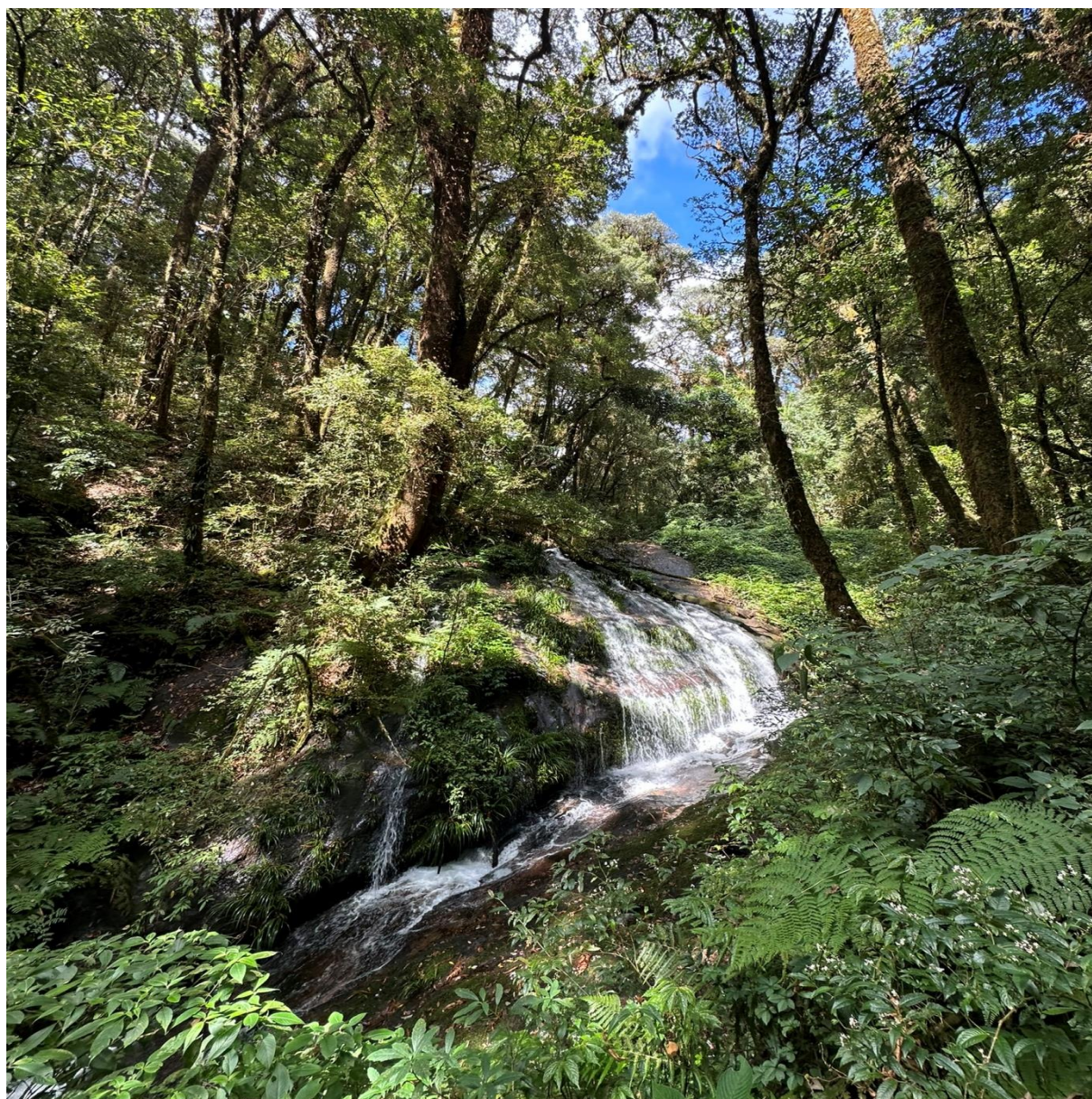
zlokalizowane na szczytach gór w lesie. Szczerze mówiąc, nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia, kolejne kiczowate świątynie. Bardziej interesował mnie naturalny las i wyczekiwany przeze mnie spacer po nim. W końcu dotarliśmy na miejsce. Po drodze nasz przewodnik, który była bardzo sympatyczny i specyficzny, musiał kupić bilety do parku narodowego. Przewodnik bawił nas bardzo, ponieważ co chwilę mówił, że teraz pojedziemy 152 m lub 12 minut, z wielką dbałością o szczegóły. Opowiadał też ciekawe historie, jak był małym chłopcem i z rodzicami uprawiał opium. Z kolegami marzyli o karierze przemycznika opium. Z czasem rząd chemią i innymi działaniami zlikwidował te uprawy, zamieniając pola w uprawy kwiatów, truskawek czy kawy. Turystyka także bardzo mocno przyczyniła się do tego, że lokalna ludność musiała znaleźć inne środki utrzymania. Opowiadał, że dla ludzi opium stanowiło remedium na choroby, gdy wielu z nich nie było stać na lekarstwa i pomoc medyczną. Wspominał, że czterokrotnie ukąsił go wąż, radził też, że gdy np. dusi nas boa, to koniecznie trzeba łaamac lub ugryźć go w ogon, który jest bardzo unerwiony, gdyż to daje nam szansę, że gad zwolni śmiertelny uścisk. Opowiadał, że jeszcze w latach siedemdziesiątych tygrysy zabijały wiele osób. Rekordzista zjadł 40 ludzi. Podobno, jeżeli tygrys raz zje człowieka, będzie chciał robić to częściej, ze względu na smak mięsa. Jeżeli jakiś tygrys raz zje człowieka, należy go jak najszybciej zabić. Domy w rejonie Indochin są budowane na palach właśnie ze względu na dzikie zwierzęta.

W końcu przyszedł czas na spacer po lesie – dla mnie najciekawszy punkt dnia. Las na szczęście nie był mokry, więc mieliśmy idealne warunki do wędrówki. Bardzo strome wzgórza porośnięte gęstym i naturalnym lasem wywoływały refleksję, że nie ma szans przejść przez niego z pominięciem wydeptanych szlaków. Wspinaliśmy się po przygotowanych trasach, często wyłożonych kładkami. Las pokazał swoje piękno: potęgę kilkadziesiąt metrowych drzew, płataninę lian czy zagajników bambusowych. Po jakimś czasie wyszliśmy z niego i naszym oczom ukazał się piękny widok na łąki i oddalone pola czy miejscowości. Szkoda tylko, że była to jedna z głównych turystycznych atrakcji, przez co bardzo licznie odwiedzana przez wycieczki.

Po wspinaczce przyszedł czas na obiad, gdzie miałem okazję siedzieć naprzeciwko młodych niby-Rosjanek. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy okazały się Ukrainkami z Doniecka, mieszkającymi od dłuższego czasu we Francji. Siostry mieszkają w Paryżu, a matka w Lionie. Byłem pełen podziwu dla ich znajomości języków obcych: rosyjski, francuski i angielski. Od razu zbudowaliśmy fajne relacje, które stają się standardem pomiędzy normalnymi Polakami i Ukrainkami. To jest jedna z niewielu pozytywnych stron tej wojny.

Po posiłku pojechaliśmy jeszcze na lokalny market, gdzie można było kupić wszystkie owoce czy suveniry. Nasz przewodnik rekomendował lokalne owoce awokado i truskawki, reszta to towar spoza parku. Ostatnim przystankiem była wieś ludności Kareli, gdzie napiliśmy się lokalnej kawy i pochodziliśmy po wsi. Mieliśmy też okazję zobaczyć lokalne stroje – ciekawy był np. strój dziewczyny stanu wolnego. W całym wyjeździe brakowało mi bardziej wędrówki przez lokalne wsie. Zanadto skupiono się na turystycznych atrakcjach. Dla mnie sama ludność, to, jak żyją, jak się ubierają, jest ciekawsze niż kolejna świątynia i lokalny targ, gdzie wszyscy sprzedają to samo. Po powrocie udałem się jeszcze na kolację na nocny targ, gdzie miałem okazję zjeść świeżą rybę z grilla, a następnie udałem się jeszcze na kawkę, do miejsca z dostępem do wi-fi.

Zdjęcia 58–78. Park Narodowy Doi Inhadnon.































Zdjęcia 79–83. Biała pagoda.







